

Refleksje po ataku na „Charlie Hebdo”

13 stycznia 2015

Poniższy esej jest krótkim i bardzo uproszczonym streszczeniem poglądów autora na sytuację w Europie i na Bliskim Wschodzie, po zamachu na redakcję „Charlie Hebdo”. Szczegółowa analiza wymagałaby grubasnego tomu.

TROCHĘ HISTORII

Po 1945 r. nastąpiła stopniowa i miejscami bardzo krwawa dla „tubylców” (np. Algieria) de-kolonizacja posiadłości europejskich imperiów na Bliskim Wschodzie i w Afryce, z jednym wyjątkiem, ale o tym później. Powstałe w jej wyniku państwa były najczęściej tworem kolonizatorów, prawie zawsze w granicach wytyczonych od linijki po mapie, skupiającymi ludzi różnych wyznań, lojalnych wobec prastarych struktur plemiennych i religijnych a nie wobec nowego państwa, często skłóconych od wieków z innymi współobywatelami. Utrzymanie takich sztucznych tworów wymagało rządów silnej ręki, czyli dyktatorów, prawie zawsze wspieranych przez dawne metropolie i jedno z dwóch supermocarstw, w zamian za korzyści finansowe i polityczne. Wszyscy ci dyktatorzy próbowali (oprócz tradycyjnego nabijania kabzy sobie i swoim) zmodernizować swe kraje za pomocą importowanych z Zachodu ideologii i rozwiązań – socjalizmu, nacjonalizmu, gospodarki rynkowej, zupełnie jednak bez oglądania się na miejscową tradycję i obyczaje. Wszędzie doprowadziło to do westernizacji wąskiej elity oraz do alienacji reszty społeczeństwa. Głównie z tego powodu nie rozwiązano problemu biedy, korupcji i zacofania, nigdzie nie zbudowano społeczeństwa obywatelskiego, sprawnie funkcjonującej aparatury państwowej i prawnej czy wreszcie nowoczesnej infrastruktury.

Równocześnie, europejskie imperia kolonialne, odbudowujące się

ze zniszczeń wojennych i przeżywające powojenną hossę, zaczęły sprowadzać, głównie z dawnych kolonii, tanich gastarbeiterów do czarnej roboty, w znacznej części muzułmanów.

Jedynym wyjątkiem w procesie de-kolonizacji była (i jest) Palestyna, gdzie Syjoniści ustanowili swą kolonię wg XIX-wiecznych wzorców, tj. drogą podboju, wypędzania „tubylców” i przywłaszczania i kolonizacji ich ziemi. Byli i są w tym bezwarunkowo popierani przez rządy krajów zachodnich, które nagminnie przymykają oko na zbrodnie wojenne, łamanie praw człowieka i lekceważenie międzynarodowego systemu prawnego, co jest jednym z głównych punktów zapalnych w stosunkach muzułmanów z Zachodem.

Klęska modernizacji, bankructwo importowanych z Zachodu rozwiązań politycznych i społecznych, porażki w wojnach z syjonistyczną kolonią, wasalna zależność od nowego imperium kolonialnego – Stanów Zjednoczonych, obce interwencje, a wreszcie ucisk lokalnych dyktatorów doprowadziły w latach 70-ych ubiegłego wieku do narodzin ideologii islamizmu i islamskiego terroryzmu, początkowo skierowanego wyłącznie przeciw miejscowym tyranom i syjonistycznej kolonii. Równocześnie w Europie zakończył się okres powojennej hossy i sprowadzeni z Bliskiego Wschodu emigranci, na ogół nieźle już zdomowieni, a także ich dzieci, zaczęli mieć o wiele większe niż dawniej kłopoty ze zdobyciem pracy i z osiągnięciem awansu społecznego.

Upadek ZSRR doprowadził do załamania systemu dwu-biegunowego utrzymującego światową równowagę i Stany Zjednoczone stały się jedynym graczem na Bliskim Wschodzie. Oznaczało to pełną swobodę otwartych, bezpośrednich interwencji zagranicznych USA w interesach amerykańskiej imperialnej oligarchii i grup nacisku reprezentujących amerykańskie i zagraniczne interesy oraz zielone światło dla wszystkich poczynań syjonistycznej kolonii.

Amerykanie już wcześniej ostro mieszały na Bliskim Wschodzie,

ale zawsze „per procura”, w tajnych operacjach CIA, jak np. „Ajax” w Iranie w 1953 r. czy w Afganistanie po najeździe sowieckim, czy szczując Irak Saddama Husajna do wojny ze zbuntowanym irańskim wasalem w latach 1980-1988.

W 1991 r. „Pierwsza Wojna w Zatoce”, z Irakiem Saddama Husajna, któremu USA dały z początku do zrozumienia, że nie mają nic przeciwko zajęciu przez niego Kuwejt, rozpoczęła ćwierć wieku otwartych amerykańskich interwencji – bombardowań, sankcji, napastniczych wojen. Ich ofiarą padły co najmniej setki tysięcy „tubylców”, w przytłaczającej większości cywile, kobiety i dzieci, a Stany Zjednoczone awansowały w powszechnej opinii miejscowych na agresora, wroga, prześladowcę i stały się głównym celem ataków islamskiego terroryzmu. Na drugim miejscu uplasowały się ich kraje wasalne.

TROCHĘ TERAŹNIEJSZOŚCI

Wszystkie te interwencje, były i są prowadzone w interesach rządzącej w USA oligarchii i grup interesów a nie w interesie narodowym i cechują się skrajną imperialną arogancją, czyli lekceważeniem historii, brakiem planowania strategicznego, nieznajomością regionalnych realiów, języka i wierzeń, pogardą dla „tubylców” i brakiem zrozumienia dla ich tradycji, przesadną wiarą we własne możliwości i chciejstwem. Doprowadziły jak dotąd tylko do krwawego chaosu, wojen domowych, sekciarskich rzezi, rozpadu Iraku, Libii i Syrii i śmierci dalszych setek tysięcy „tubylców”. Mimo postępującego uwiąznięcia i korupcji demokracji w Stanach Zjednoczonych i (w mniejszym stopniu) w Europie, rządy USA i satelitów muszą w jakiś sposób usprawiedliwić te kosztowne i krwawe awantury i przekonać do nich podatników. Najlepszym od zawsze narzędziem urabiania populacji do wojen jest szerzenie strachu przed „obcymi”. Tak więc, od dwóch dziesięcioleci korporacyjne media, które od dawna porzuciły rolę 4-j władzy na rzecz wysługiwania się rządzącej oligarchii i grupom nacisku, po utracie straszaka „komunizmu” bombardują publiczność

propagandą wojenną demonizującą islam i muzułmanów i podsycającą strach i ksenofobię. Zrzuca ona winę za ataki na własnym podwórku, będące odwetem za bliskowschodnie awantury, na rzekomą nienawiść muzułmanów do wolności, demokracji i swobód, spowodowaną paskudną religią, którą wyznają, a nie politycznymi konsekwencjami napastniczych wojen i interwencji. Jest to robione fachowo i subtelnie w mediach głównego nurtu, bardziej wrzaskliwie w brukowcach (tabloidach), a wreszcie na całego w mediach społecznych, i znajduje szeroki posłuch u sfrustrowanej kryzysami w gospodarce, polityce i demokracji, nieznającej historii i źle poinformowanej publiczności, która ekstrapoluje problemy społeczne typowe dla każdego getta emigranckiego, bez względu na jego narodowość i religię, na islam i 1,5 mld muzułmanów świata.

ZAŁEJĄ NAS?!!

Wbrew powszechnie akceptowanym legendom miejskim, muzułmanie w krajach europejskich nie nagorzej się asymilują, nie zanoszą się na „zalenie” przez nich Europy (patrz [PDF](#)), a islam nie jest głównym motorem zamachów terrorystycznych (we Francji tylko 20% muzułmanów praktykuje, niewiele większy odsetek niż rodzimych katolików). Nawet dla tych wierzących i praktykujących jest on najwyżej wyznacznikiem tożsamości, marksowską ideologiczną nadbudową i klejem który ich jednoczy. Wykrzykiwanie „Allah Akbar” podczas zamachów ma takie samo znaczenie i sens jak polski (i nie tylko) okrzyk bitewny „Bóg z Nami!”, czy „W Imię Boże!”. Podstawowym problemem jest tu nie wiara i jej nakazy, które muzułmanie, jak wszyscy inni ludzie wierzący w jakąś religię interpretują tak jak im pasuje do okoliczności, ale kwestia lojalności wobec państwa osiedlenia, które uczestniczy w interwencjach, wojnach i najazdach na ich współwyznawców czy rodaków na Bliskim Wschodzie. Francja była dawniej szczególnym przypadkiem, bowiem w odróżnieniu od Wielkiej Brytanii, prowadziła przez długi czas względnie niezależną od USA politykę bliskowschodnią, np. blokując w Radzie Bezpieczeństwa ONZ

amerykańską rezolucję sankcjonującą napaść na Irak. Zmieniło się to drastycznie po wyborze Sarkozy'ego w 2007 i Francja stała się wasalem Stanów Zjednoczonych z entuzjazmem uczestniczącym w ataku na Libię, destabilizacji Syrii, bombardowaniach ISIL, interwencjach w Afryce i w blokowaniu Iranu. Jak na razie nie wiadomo jaki wpływ na tą zmianę kursu miały naciski USA, wciąż dominujących w międzynarodowym handlu i finansach, a jaki rodzime grupy specjalnych interesów.

W kwestii muzułmańskiej Europa znalazła się zatem w ślepych zaułku. Stan ciągłej wojny, zwłaszcza przy możliwości istnienia wroga wewnętrznego, jest bowiem niekompatybilny z demokracją i pełnią swobód obywatelskich. Dziesięciolecia czarnej propagandy straszącej muzułmanami i demonizującej islam doprowadziły do powstania ostrych napięć i podziałów społecznych i powszechnej islamofobii. Europejscy politycy i media, idący na pasku amerykańskich i syjonistycznych podżegaczy wojennych i grup nacisku, zasiali w ten sposób wiatr, który może spowodować burzę zamieszek, walk sekciarskich i spiralę ataków odwetowych. Jeśli, co jest prawie pewne, będą miały miejsce dalsze spektakularne i oburzające zamachy muzułmańskich terrorystów, islamofobia może osiągnąć masę krytyczną, prowadzącą do wybuchu przemocy, wobec którego ci co ten wiatr posiali będą całkowicie bezradni. Dalsze umacnianie „służb”, wciąż rosnący zakres inwigilacji społeczeństwa i pełzające ograniczanie swobód obywatelskich nie będzie w stanie zapobiec ani kolejnym atakom, ani gwałtownej reakcji rozchuśtanych propagandą mas ksenofobów. Tymczasem w odpowiedzi na powszechne w umysłach mas przekonanie o odpowiedzialności zbiorowej, owocujące zwiększoną wrogością reszty społeczeństwa i na dalszą demonizację wszystkich bez wyjątku muzułmanów rosnać będzie alienacja muzułmańskiej mniejszości i jej podatność na radykalizację, co, w połączeniu z reakcją islamofobów, utworzy spiralę mogącą prowadzić do rozlewu krwi.

Wobec powyższego, co można powiedzieć o polityce redakcyjnej

„Charlie Hebdo”? No cóż, wolność słowa jest bezcenna, trzeba o nią walczyć i jej bronić. Gdzie jest jednak granica pomiędzy satyrą a szyderstwem z czyichś wierzeń i światopoglądu? Gdzie jest granica pomiędzy usprawiedliwionym wyśmiewaniem nonsensów czyjejs wiary i zachowań, a prowokacją, zwłaszcza w sytuacji napięć i konfliktów pomiędzy grupami społecznymi? Być może, gdyby ludzie kierujący tym wydawnictwem zastanowili się głębiej nad tymi pytaniami, tragedii dałoby się uniknąć. Całkowita swoboda mówienia, pisania i postępowania nie jest przecież wolnością, ale anarchią.

I CO DALEJ?

W idealnym świecie można byłoby zastosować najbardziej sensowne i logiczne rozwiązanie narastającego kryzysu – zakończyć interwencje w świecie islamu, wycofać wojska i bazy z Bliskiego Wschodu, pozwolić społeczeństwom islamskim na znalezienie własnych rozwiązań, choćby nawet droga do nich była tam krwawa i pełna zamętu. Na gruncie domowym zakończyć czarną propagandę wojenną, demonizującą muzułmanów, a zamiast tego budować pomosty pomiędzy społecznościami przy pomocy zwalczania ignorancji i uprzedzeń oraz edukacji obu stron. Biorąc jednak pod uwagę tzw. realia, są to marzenia ściętej głowy. Stany Zjednoczone ani nie wycofają się z Bliskiego Wschodu, gdyż podkopałoby to ich prestiż oraz pozbawiło kontroli nad zasobami surowca strategicznego i nad niezbędnym do światowej dominacji strategicznym regionem, ani nie pozwolą swym satelitom na wyłamanie się z szeregu. NATO-wscy wasale USA nie są w stanie wyzwolić się spod kurateli uzbrojonego po zęby skorumpowanego Imperium, kontrolującego wciąż jeszcze światowy handel i finanse i nie cofającego się przed niczym dla zachowania swej hegemonii, nawet jeśli dalsze uczestnictwo w amerykańskich wojnach jest drastycznie sprzeczne z ich interesem narodowym.

Interwencje będą kontynuowane, mimo że bomby z samolotów i dronów nie mogą zniszczyć ani Al-Kaidy ani ISIL, ani islamizmu, bo zrodziła je idea oporu przeciw zachodniej

dominacji, a idei pokonać bombami się nie da. Równocześnie, Zachód nie jest w stanie wystawić armii, zdolnej do przywrócenia i UTRZYMANIA pożądanego przezeń „porządku” w regionie, a kontrolowany przez Syjonistów Kongres USA nie nałoży sankcji na syjonistyczną kolonię, by zmusić ją do znaczących ustępstw wobec prawowitych mieszkańców Palestyny. Zachodnie media nie przestaną tuczyć się na „sensacyjkach” demonizujących muzułmanów i islam.

Konflikt z muzułmanami będzie zatem w Europie narastał. W demokracji nie ma legalnego sposobu na proponowane przez gardłujących islamofobów „wysiedlenie” 20+ milionowej muzułmańskiej mniejszości, z reguły posiadającej obywatelstwo unijnych krajów. Teoretycznie możliwe „zawieszenie” demokracji w tym celu, po zdobyciu władzy w wyborach przez rosnącą w siłę dzięki ksenofobii skrajną prawicę, może tylko doprowadzić do rozlewu krwi, gdyby podjęto taką próbę. Równocześnie, nawet najdalej posunięta inwigilacja społeczeństwa nie będzie w stanie zapobiec kolejnym atakom zradkalizowanych POLITYCZNIE (a nie przez islam) członków mniejszości, której współwyznawców czy krajanów ich rządy atakują i bombardują, wysługując się obcemu mocarstwu. Mimo to wszystkie rządy zachodnie natychmiast po strzelaninie jak jeden mąż zapowiedziały stanowczo ostre zwiększenie inwigilacji obywateli, dodatkowe uprawnienia dla „służb” i zwiększenie wydatków na „bezpieczeństwo”.

Na pytanie co jest bardziej prawdopodobne – zakończenie udziału w amerykańskich bliskowschodnich awanturach, czy pożegnanie się przez Unię z demokracją i swobodami obywatelskimi dla wątpliwej ochrony bezpieczeństwa obywateli odpowiedzieć trudno. Jeśli komentarze i wypowiedzi w mediach społecznych są jakąś wskazówką, opinia publiczna, omamiona islamofobiczną propagandą bardziej boi się muzułmańskiego „czarnego luda”, niż państwa policyjnego.

Szykuj się zatem Europo na... dalszy udział w wojnach i interwencjach, lawinowy rozrost „służb” i państwa policyjnego,

ataki, zamieszki, a nawet (oby nie) wojny domowe.

Autorstwo: Herstoryk

Nadesłano do „Wolnych Mediów”